

Marek Wawrzkiwicz

Osobliwe wiersze Pana Jarosława

I

Trzy dni po śmierci Jarosława Iwaszkiewicza pojechałem do Stawiska. Wielki dom był pusty, ale czekała na mnie moja znajoma, Grażyna Martenko, która od jakiegoś czasu porządkowała archiwum pisarza. Poprosiłem, aby udostępniła mi jego ostatnie, niepublikowane wiersze – jeden z nich chciałem wraz z pożegnaniem wydrukować w *Nowym Wyrazie*, miesięczniku, którym wówczas kierowałem. Grażyna pokazała mi wspaniałą *Uranję*, ale wiersz był zamówiony przez *Twórczość* – pismo Pana Jarosława. Musiałem, oczywiście, ustąpić i wziąć *Kuchnię kucharską prababki*. Wiersz mi się nie podobał. Przeczytałem powtórnie w redakcji – kiepski wiersz. Przeczytałem w korekcie – to samo wrażenie. Numer się ukazał – to samo. Ale zorientowałem się, że już pół roku o tym wierszu myślę. I zrozumiałem: wiersz niedobry. A wielki. Dlaczego?

Książka kucharska prababki

Przepis na baby sakramenckie od panien

Berdyczowskich.

Przepis na sucharki od kogoś. Jak prac

blądny.

Insze koronki jak usztywniać. Rosolisy po

lwowsku.

Sorbet różany rungurski. Orzechy smażone na
szczyście.

Lak purpurowy topiony w spirytusie i maczane
w nim objęzione grona winogron.

Patarafka! obszyte szlarką z pstrej fasoli i
nasion harbuza.

Różowa poduszka do szpilek w kształcie serca,
jedwabna.

Posłana tobie potajemnie z prośbą, żebyś nie
umarła.

Przepisywałem ten wiersz, a mój kretyński komputer podkreślił sześć słów jako błędnych. Zachował się tak jak ja, kiedy ten wiersz czytałem przed laty. Ale teraz mogę go przełożyć na język współczesny. Przedtem jednak o tytule.

W czasach kiedy żyła prababka Jarosława Iwaszkiewicza książek w domach ludzi umiających czytać i pisać było tyle, ile we wnętrzach eleganckich domów, widzianych w polskich serialach. Książka kucharska prababki mogła być wydana w końcu XIX wieku. Na jej marginesach wypisywano nowe przepisy lub inne uwagi dotyczące np. gospodarstwa. Ale bardziej prawdopodobne jest, że ta książka była grubym kajetem, w którym zapisywano to, co usłyszano lub wynaleziono. Panny Berdyczowskie powieźdzały prababce jak piec baby sakramenckie. Wyobrażam sobie, że chodzi o ciasto pieczone na Wielkanoc, ale zupełnie nie wiem, dlaczego te baby są sakramenckie. Doszedłem jednak do tego, co to znaczy „prac

blądny”. Na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej błędynami pisany przez „ą” nazywano bieliznę pościelową, bo była ona biała. Po praniu rozkładano prześcieradła, poszewki i powłoczki na trawie, a w mroźne dni rozwieszano na sznurach. Pościel miała zapach upalnego lata albo siarczystej zimy. Wiem też co znaczy patarafka. Mój zmarły przyjaciel Piotr Kuncewicz miał kota o tym imieniu, ale oczywiście nie o kota Iwaszkiewiczowi chodziło. Patarafka to ozdobna serwetka pod lampę lub świecznik. Po co objęzione grona winogron topiono w spirytusie i oblewano purpurowym lakiem? Domyślam się, że w epoce przed plastykowymi cudelnkami tworzone w ten sposób ozdoby, bibeloty. Wyjaśnienie dla młodszego czytelnika: rosolisy to owocowe likiery o różnej zawartości alkoholu; słyńca z nich wtwórnia wódek i likierów hrabiów Potockich z Łańcuta, ale pewnie wytwarzano je również we Lwowie. Sorbet to napój deserowy – zimna woda, owoce i niewielka część alkoholu. Ale dlaczego rungurski? I jeszcze ta poduszka, jedwabna różowa... Pamiętam takie. Były z jedwabiu, ale także z atlasu i aksamitu, wbijano w nie szpilki i igły.

Wiersz zamieszczono w tomie *Muzyka wieczorem*, który ukazał się już po śmierci poety, w roku 1980. Jeśli – jak mnie zapewniano – był jednym z trzech ostatnich jego wierszy, musiał być napisany w drugiej połowie roku 1979 lub styczniu albo lutym 1980. Zapewne nigdy nie dowiemy się jak powstawał. Można wątpić, czy autor zachował dokładnie w pamięci te wszystkie nazwy i szczegóły, choć to niewykluczone. Wolałbym jednak, aby było tak: stary poeta przegląda jeszcze starszą, pożółkłą księgę, wertuje ją i wzrusza się, bo ona przywołuje i odświeża dzieciństwo i wczesną młodość – wszystko to przecież widział i wszystkiego smakował. W tym staroświeckim spisie jest właśnie wzruszenie i sentyment. Ale komu wysłał kiedyś tam, w odległej przeszłości, różową poduszczykę? Czy tak rzeczywiście było? I czy adresatka spełniła prośbę, czy prośba była daremna? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. I te pytania pozostaną w nas, tak jak pozostanie w nas ten osobliwy wiersz.

II

Jarosław Iwaszkiewicz miał naturę podróżnika, podróżował niemal do śmierci, Europę zjeździł wzdłuż i wszerz. Podróże były zawsze płodne – dramat *Kochankowie z Werony* napisał w Niemczech, a bardzo polską *Brzezinę* we Włoszech. Wiele wierszy i opowiadań czerpały inspiracje z wędrówek. Były tak samo ważne jak lektury. Petersburg, któremu Iwaszkiewicz poświęcił swoją książkę pod tym właśnie tytułem, był dla pisarza miastem nieznanym – odwiedził go już po napisaniu książki bodaj tylko raz, w

latach siedemdziesiątych. Tłumacz tej książki Jewgienij Niewiakina opowiadał mi jak dyskretnie w swoim przekładzie prostował błędy autora dotyczące przede wszystkim topografii miasta i niektórych dat... Ale wróćmy do morza.

Nasz kontynent z trzech stron oblewają morza i oceany, jednak w twórczości tego wielkiego pisarza trudno odnaleźć akweny północne czy południowe. W *Książce moich wspomnień* natrafiłem na fragment dotyczący Danii, gdzie kilka lat pracował w polskiej ambasadzie.

W Hallebaek stary pałac stoi tuż nad morzem i dawniej ogród koło niego schodził aż nad samą plażę... na Kattegacie przewijają się statki jeden za drugim i nierzadko spostrzeżenie się jeszcze wielkie, rude czy białe żagle, przeciągające pochylony okręt... Opodal widać stare chatki rybackie, dzisiaj zamienione w wille i po prostu tonące w kwiatach... Dalej „ludzkie” czworaki, na których pną się blade róże marechal Niel... z każdego pagórka widok na morze szare, na Szwecję niebieską naprzeciwko i na wylot ku oceanowi, gdzie można pofrunąć okiem jak ptak niczym nieskrępowany...

Zauważmy: morze jest tłem. Na tym tle wyraźniej widać ziemię i wszystko, co z niej wyrasta – drzewa, domy, rośliny. Iwaszkiewicz był poetą ziemi. Nawet kiedy pisał o rzekach – przeważnie niewielkich – to są one oswojone, domowe, ziemi przynależne. Stąd młyny usadowione nad Utratą, Lutynią, Kamionną. Powtarzam: morze jest tłem. Nigdy nie jest najbujniejszym, najbardziej dynamicznym pejzażem, nic się nie dzieje w jego głębinach i na powierzchni. Ono tylko jest.

A jednak: w *Jutro żniwa* jest wiersz *Bitwa morską XVII w.*, niekiedy, choć nieczęsto powtarzany w późniejszych wydaniach. Wiersz, który – tak sobie wyobrażam – uprawiał w zakłopotaniu tych, którzy później opracowywali książki i ich wydawców. Wiersz, który – o ile pamiętam – w przeciwieństwie do wielu innych nie doczekał się krytycznej analizy. O ile wiem nikt tego wiersza – dziwadła nie przywoływał w przypisach i odsyłaczach.

Ponad uwiędłych lasów ranty
Ssąc słońce gasnących amarantów
Chmury się walą jak giganty

Z szafirowego nieba cycka
Deszczowa woda mlekiem tryska
I zwisa błam foczego pyska

Fartuchy żagli jak konopne
Policzki płowe i okropne
Wzdymają się jak wrzody ropne

I rozspanych rąk paprocie
Ponad falami w szybkim locie